

Doktor, który nie lubi tabletek

Doktor Włodzimierz Łopaczyński w Ameryce zakochał się już pierwszego dnia pobytu. Z rocznego stypendium zrobiło się 24 lata.

Niecały rok temu zdał sobie sprawę, że takich Polaków jak on, lekarzy z dyplomem Akademii Medycznej w Białymstoku (obecnie Uniwersytetu), mieszkających w Ameryce Północnej, musi być więcej. Przez pół roku śledził losy absolwentów UMB. E-mailował, wypytywał, wysyłał listy i wydzwaniał po całej Ameryce.

- *Znałem około 20 osób, które ukończyły UMB i mieszkały na stałe w USA – rozpoczyna opowieść. - Z opowiadań innych słyszałem o następnych 20. Zakładałem też, że jest kolejne 20 osób, o których nic nie wiem. Ostatecznie doszedłem do ponad 120 nazwisk! Potem pojawił się pomysł zorganizowania spotkania w Ambasadzie RP w Waszyngtonie. Przyjechało ponad 40 osób, w tym rektor UMB prof. Jacek Nikliński.*

Studia z przymusu

Na AMB studiował w latach 1974 – 1980. Jak podkreśla, były to zupełnie inne czasy niż teraz. Studiów nie wspomina najlepiej. Po pierwsze – wcale nie chciał tu się uczyć. Wyboru jednak nie było – obowiązywała rejonizacja. I choć marzył o medycynie w Gdańsku czy Warszawie – to, jako mieszkaniec Olsztyna, musiał jechać do Białegostoku. Po drugie – rozczarował go sposób nauczania.

- *Podaję, że teraz jest zupełnie inaczej – mówi. - Wtedy głównym problemem był brak podręczników. Nie mieliśmy praktycznie dostępu do aktualnych opracowań. Propedeutyki diagnostyki interny uczyliśmy się z książki wydanej przed wojną. Ponadto uczelnia była przeludniona, był jeden szpital, jeden akademik i jeden budynek naukowy, a nas na roku było ponad 300 studentów. Ćwiczenia nie wyglądały, tak jak powinny i nie dawały wiedzy, jakiej oczekiwaliśmy.*



Doktor Włodzimierz Łopaczyński.

Z perspektywy czasu wydaje mi się, że jedynie anatomia i biochemia były na dobrym poziomie.

Na domiar złego wykładowcy z dyscyplin klinicznych często nie traktowali swoich obowiązków, tak jak powinni.

- *Asystenci byli przemęczeni po dyżurach, często wielodniowych, i albo im się nie chciało, albo wręcz nie byli należycie przygotowani do prowadzenia ćwiczeń ze studentami – opowiada. - Pamiętam, że w planie zajęć miałem kliniczny blok ćwiczeniowy, a zamiast niego dwa tygodnie spędziłem w poczekalni przed wejściem do kliniki. Na koniec pojawił się asystent, żeby nam podstemplować książeczki ćwiczeniowe. Dopiero potem okazało się, że stemplował pieczętką kolegi.*

Jak w Disney Worldzie

Z Polski wyjechał w 1988 roku. Miało to być roczne stypendium fundacji Fogarty'ego w Narodowym Instytucie Raka (National Cancer Institute – NCI) w Bethesdzie. Spełnienie marzeń. Był już wtedy w miarę doświadczonym lekarzem z ośmioletnim stażem pracy w Klinice Endokrynologii AMB i doktoratem.

- *Już w latach siedemdziesiątych wiedziałem o istnieniu instytutu, bo od ostatnich 30 – 40 lat to wiodący na świecie ośrodek badań nad rakiem – tłumaczy.*

NCI jest jednym z 22 instytutów działających w ramach Narodowych Instytutów Zdrowia w Bethesdzie. Budżet tego instytutu – co roku zatwierdzany osobno przez kongres USA – wynosi ponad 6 mld dolarów. Pracujący tam naukowcy mają do dyspozycji najnowocześniejsze na świecie laboratoria i sprzęt.

Jadąc do Stanów, dr Łopaczyński spodziewał się, że to będzie inny świat. Ale mimo to wiele rzeczy go zaskoczyło.

- *W budynku, w którym pracowałem mieściło się centrum kliniczne, ale były również dwa banki, sklepy i restauracje, z czego jedna była otwarta przez całą dobę. Wszystko po to, by ułatwić życie naukowcom i zapewne byśmy mogli dłużej i efektywniej pracować – opowiada.*

Nie miał problemu, by namówić żonę i dzieci, które przyjechały po siedmiu miesiącach w odwiedziny, do pozostania na stałe w USA.

- *Żona z sześciolatnym synem i czteroletnią córką przyjechała do mnie na wakacje – wspomina. - Spędziliśmy je m.in. w Disney Worldzie na Florydzie, co było dla nas wszystkich niesamowitym*

przeżyciem. Dzieci od razu były bardzo pozytywnie nastawione do tego, żeby tu zostać. Nie miały żadnych problemów z adaptacją, bardzo szybko opanowały angielski.

Kompleks angielskiego

Gorzej było z dr. Łopaczyńskim. Kiedy jechał do USA, wydawało mu się, że zna wystarczająco język angielski. Prawda okazała się inna.

- To był mój wielki problem, wprost wpędzający mnie w kompleksy – przyznaje szczerze. - Dopiero po kilku latach pozbyłem się tego strachu i niepewności, czy jestem dobrze rozumiany.

Kiedy przyjechał do USA, przekonał się też, że nie jest tak wykształcony jak jego amerykańscy koledzy.

- Nie czułem się na równi z kolegami z Ameryki, nie mogłem z nimi na początku konkurować. Co było robić? Kupowałem książki i intensywnie się douczałem - opowiada.

Nigdy nie miał okazji sprawdzić, jak wygląda leczenie pacjentów w Ameryce. Nie nostryfikował dyplomu.

- To wiązało się z trzy, czteroletnią rezydenturą – mówi. - A lekarze w USA, którzy robią specjalizację są bardzo słabo opłacani. Pracując naukowo, zarabiałem trzy razy więcej niż oni, a mając na uwadze kosztowną w USA edukację oraz dorastające dzieci, praktycznie nie mogłem sobie wówczas na to sobie pozwolić.

Zresztą przyznaje, że od samego początku zafascynowały go badania naukowe.

- Mój pierwszy szef w NCI, który był endokrynologiem dziecięcym, powiedział mi: zapomnij o pacjentach, zajmijmy się prawdziwą nauką, tak jak ja zrobiłem to 20 lat temu – wspomina.

Tą prawdziwą nauką była biologia molekularna, – o której na początku swojej kariery w USA dr Łopaczyński nie miał specjalnego pojęcia, a która potem stała się jego pasją. Zajmował się nią w Narodowym Instytucie Raka, gdzie pracował przez pierwsze osiem lat. Po tym czasie okazało się jednak, że nie może tam dłużej zostać ani awansować, gdyż nie ma amerykańskiego obywatelstwa. Miał rok na znalezienie pracy.

- Narodowe Instytuty Zdrowia dysponują budżetem ponad 20 mld dolarów rocznie – opowiada. - Odejść z takiej organizacji i trafić w realia zwykłego amerykańskiego uniwersytetu to był prawdzi-



Włodzimierz Łopaczyński z synem Justynem po biegu maratońskim.

wy szok. Uczelnie dają na początek pieniądze, ale potem trzeba znaleźć sposób finansowania, żeby zapewnić sobie byt.

Pan Włodzimierz trafił najpierw do Uniwersytetu Pensylwania w Filadelfii. Po roku pracował już na Uniwersytecie Północnej Karoliny (UNC Chapel Hill). Był zadowolony z tego, co robił, ale żona i dzieci – już trójka – nie chciały się przenieść z Marylandu do Północnej Karoliny. Na szczęście pojawiła się oferta pracy w firmie biotechnologicznej, która mieściła się kilka kilometrów od rodzinnego domu w Bethesda.

Kiedy po pięciu latach firma prawie bankrutowała, on już miał amerykańskie obywatelstwo i, dzięki starym kontaktom, mógł wrócić do Narodowego Instytutu Raka.

Małeństwo pływa

Swoją żonę pamięta jeszcze z czasów dzieciństwa, pochodzili z tej samej olsztyńskiej parafii. Bliżej poznali się jednak dopiero na studiach. Pani Joanna też jest naukowcem, ale pracuje jako menadżer naukowy w firmie biotechnologicznej. Ta dostarcza zestawy naukowe do badań biomedycznych prowadzonych w Narodowych Instytutach Zdrowia.

Przyznają, że w USA prowadzą spokojne i dostatnie życie.

- W Polsce ciężko się nam żyło – wspomina dr Łopaczyński. - Żona urodziła dwojkę dzieci jeszcze na studiach, a potem rozpoczęła prace w Klinice Ginekologii u prof. Mariana Szamatowicza. Ja robiłem w tym czasie doktorat, nie

mieliśmy mieszkania, pomieszkivaliśmy gdzieś kątem. Był stan wojenny, ciężko było cokolwiek kupić.

Dwójka starszych dzieci mieszka już oddzielnie. Nie poszły jednak w ślady rodziców. Syn Justyn skończył technologię muzyki na Uniwersytecie w Nowym Jorku. Przez kilka lat pracował w firmie fonograficznej w Nowym Jorku, teraz w Departamencie Rolnictwa w Waszyngtonie zajmuje się organizacją finansową grantów naukowych. Jednak każdą wolną chwilę poświęca muzyce. Ma swój własny zespół, gra mieszankę amerykańskiego folku z rockiem oraz jazzem. Stale nagrywa.

Starsza córka Martyna skończyła ekonomię w Dartmouth College i od czterech lat pracuje dla międzynarodowej korporacji finansowej Booz Allen Hamilton. Mieszka niedaleko rodziców – w centrum Waszyngtonu.

Najmłodsza córka, 15-letnia Adrianna (przez tatę pieszczotliwie nazywana „małeństwem”) chodzi do drugiej klasy szkoły średniej. Jej pasją jest pływanie. Startuje w reprezentacji szkoły i w barwach prywatnego klubu. Trenuje od 10 lat.

- Przez trzy dni w tygodniu wstaje o 4 rano, żeby przed szkołą potrenować, Codziennie trenuje też po szkole. Pływanie pozwala jej być bardziej zorganizowaną – w szkole ma praktycznie same oceny A (najwyższe) – mówi z dumą ojciec.

Maraton zamiast tabletek

Pasją doktora Łopaczyńskiego jest bieganie. Na koncie ma zaliczone trzy maratony (Marine Corps), odbywające się corocznie w Waszyngtonie (ostatni raz startował wspólnie z synem).

- Kilka lat temu postanowiłem, że nie będę przyjmował tabletek na obniżenie ciśnienia czy cholesterolu, tylko, co drugi dzień pobiegam przez godzinę – opowiada o tym, jak zaczęła się jego pasja. - Dzięki bieganiu mogę jeść to, na co mam ochotę i mam świetne wyniki badań. Do udziału w maratonie zachęcił mnie mój sąsiad, który jest w podobnym do mnie wieku, a od lat startuje w maratonach. Na początku nie wierzyłem, że mając ponad 50 lat, będę mógł przygotować się solidnie do maratonu i przebiec cały dystans w czasie krótszym niż pięć godzin.

Teraz zastanawia się nad czwartym startem.

Katarzyna Malinowska-Olczyk

Rzecznik prasowy USK.